**Godło: kropka**

**OUTOWIEC…**

**Dopóki możesz dać z siebie szybkość**

Łapówką kupił oblanie tego egzaminu.

To jego trzydziesty trzeci autotest. Licząc z młodocianymi, to dziewięć więcej. Wszystkie zaliczył. Co do jednego za pierwszym razem. Każdego, wymaganego przez prawo, roku.

Pochodzi z rasy autowców. Od plemnika ćwiczonych do drogi. Z poniedziałkową prędkością w ciężkostopie. Z nawigacją wbitą do oczu. Z manewrami odłożonymi w rękach pamięcią mięśniową. Z paliwem wyssanym z mlekiem ojca. Od motopokoleń.

Chodził z autem, zanim zaczął chodzić. Plastikowy pierwszak uczył go asfaltowego życia. Autko na jego smyczy, on na smyczy autka. Dowiązany sznurkiem, od ręki do przedniego zaczepu. Paka była chodzikiem. Nauczycielem równowagi, manewrowania, wyprzedzania…

Wywracał się, włażąc. Wywracał się, siedząc. Wywracał się, jeżdżąc. Wyrżnięta o beton głowa, skręcona sznurkiem kostka, asfalt wdzierający się pod skórę zdarciami dłoni i kolan… Ale nauczył się, że cztery koła to drugie stopy. Że auto to drugie ciało. Że jazda to druga dusza. Kiedy życie jest *drive*, trzeba być gotowym do wszystkiego szybkiego.

Świat jest autowiskiem.

Asfalt jest czarnoziemią. Złogi opon – poboczem. Przesieki w morzu blachy – drogami, które są torami wyścigowymi. Sprasowane auta – murami, domami, osiedlami…

Zgniatarko-dźwigi budują automiasto. Pochłaniają pojazdy, zezłomowane na obrzeżach. Wydzierają je z dzikich wydm. Miażdżą prostokątnie i stawiają blaszane klocki.

Dzień oddycha spaliną. Wiatry wyją wydechami. Chmury sinieją bez tłumików. Słońce jarzy złotym ksenonem.

Miał siedem lat, kiedy budka parkingowego wbiła mu się do głowy. Wpadł na nią przypadkiem, za granicą miasta. Drewniana oaza między zwałami osobówek, dostawczaków i ciężarówek. Przewrócona, odpoczywająca na ścianie, z oknem wpatrzonym w niebo. To było coś innego. Niż autodom, ze ścianami z karoserii. Od razu zamieszkał w niej zabawą.

W środku rósł zielony dobry duch. Żywy, bez rdzy, ciepłoszeleszczący. Rósł jak w doniczce, z osłoną. Pomiędzy drewnianymi ścianami znalazł swoje bezpieczeństwo. Ucieczkę od tłamszącej blachy, lejącej się od horyzontu. Jednym oknem zasadził się w ziemi, drugim rósł do nieba. Mały buk.

On wlazł ciekawsko do tej kapsuły czasu. I znalazł się w przetrąconej przestrzeni. Domku odpoczywającym po swoim życiu, w pozycji trumny. Gdzie ściany były podłogą i sufitem, a podłoga i dach ścianami.

Drugie drzewo znalazł w resztkach półki. Dużo większe. Rosło na zdjęciu. A w jego cieniu leżeli przytuleni stary człowiek i dziecko.

Stary człowiek to częsty niewidok. Tutaj nikt nie dożywa siwego wieku. W tym świecie nie żyje takie słowo jak starość. Jak spokojne leżenie pod drzewem. On zapragnął życia jak z tego obrazka. I postanowił, że (jak będzie duży) dotrze do zahoryzontu. Do miejsca, gdzie mieszkają drzewa. Gdzie można leżeć, obok drugiego człowieka…

Oaza była jego bazą. Zajezdnią, domem, życiem. Dopóki nie najechały ją zgniatarko-dźwigi. Nie sprasowały i nie wcisnęły do ścian miasta, jako kolejną megacegłę. W blaszanym murze odnalazł jej grób. Z trumny wystawało kilka listków, wciąż zielonych…

Tutaj szybkość rządzi ciałem i duchem.

Auta mają napęd na cztery strony świata. Gonią za prędkością obrotową Ziemi. Powodują trzęsienie czasu. Łamią grawitację. Dają ucieczkę przed rzeczywistością. Mają drogę w tyle. Zostawiają smugi kondensacyjne. Stosują się do nakazu jazdy, jak najszybciej. I przestrzegają reguły „prawej strony” – wskazówka prędkościomierza musi być wychylona w prawo.

Auta stoją szybciej niż żywe stworzenia biegają. To bestie, które pożerają klatkę. W całości, do wspomnienia po ostatnim pręcie. I zapraszają człowieka do klatki wyścigowej, w ich kabinach. Żeby kierowca poczuł, jak to jest być bestią. Na torze. A potem tylko dolewają paliwa do ognia krwiobiegu duszy. Freud nazwałby to teorią mechanicznego napędu wrażeń.

Autowcy muszą testować swoje ostrozmysły. Brawurę w żyłach i młodość manewrach. Gotowość do wyścigowości. Regularne badania to nakaz.

Tutaj żyje się do śmierci, na torze. Grzebani są tylko polegli na asfalcie. Dostają miejsce w blaszanej trumnie i wykutej na blachę pamięci. Wszyscy inni to padlina. Do rozjeżdżenia przez słońce, deszcz, wiatr. Koła też po nich jadą. *Drive fast, die young*.

Aparatura egzaminująca to podejrzliwa elektronika. Dociekliwie rozpoznaje umiejętności i gotowości. Jeśli jesteś przydatnym torowym, a czujniki to wykryją, zostajesz zesłany do Sekcji Speed; tam najszybciej o śmierć. Z AutoPartii nie można odejść. Nigdy dobrowolnie. Zwłaszcza, gdy wciąż możesz dać z siebie szybkość. Aparatura jest jak wykrywacz kłamstw.

Testy można oblać tylko naturalnym zużyciem zmysłów. Stępionymi reakcjami, które podarowuje starość i które nie dają się serwisować. A przecież On ma przed sobą jeszcze wiele lat przekraczania prędkości. Jest w wieku poborowym. Sprawny autowiec, po oszukańczym niezaliczeniu, ląduje w autołagrze. Odejść może tylko ten wyjątek, który dożyje starczego naturalnego zużycia. Wtedy może żyć sobie dalej, ale traci autoprzywileje. Nabywa praw do niebycia i zaczyna banitować na złomowydmach. Jako poboczny. Outowiec.

Światy torowych i pobocznych raczej się nie dogadują. Rzadko mieszają swoje krwi – jak etylina i ropa, jak gaz i elektro. To klasy społeczne z jedną tylko częścią wspólną – asfalt jest miejscem przejścia na którąś ze stron. Torowi do ostatniej kropli bronią swojego szybkoświata. Ale Partia daje pobocznym szansę. Dopuszcza najodważniejszych, za zasługi. Jeśli zaryzykują życie i zdobędą auto, znaczy, że są godni tego wyścigu.

Outowcy pragną być autowcami. Autowcy za nic, za wszystko nie chcą być outowcami. No ba! Nikt, przy zdrowych zmysłach, dobrowolnie nie wysprzęgla się z życia klasy S.

On chce być wreszcie stary. Mieć już te swoje lata. Te, w których trzeba sobie radzić ze zużyciem i wyciekami.

Chce się przekonać, jak to jest mieć zwiędłą karoserię. Niewyklepaną maskę na twarzy. Rysy zmarszczek, nie do zaszpachlowania. Żarówki w oczach, nie do wymiany. Zwapnienie kości, sztywne panewki stawów, stroboskopowe ruchy rąk. Jak to jest – żyć z cielesną bezsiłą.

Nauczony ciągłej walki z życiem chętnie podejmie tę rękawiczkę. To dopiero musi być wyzwanie, sprawdzić się jako człowiek w takich niewarunkach. Najwyższa szkoła jazdy.

Budka i buk zostały w nim na zawsze. On rwie się do takiego życia. I do kogoś obok… kogoś… małego. Takiego, jak na znalezionym zdjęciu. Na którym najpierw widział siebie w dziecku. A potem już tylko w starym człowieku.

Auto to najlepszy eliksir młodości. Ale On nie chce już się nim upijać. Chce zwolnić swój moment obrotowy. Ale jak zestarzeć się w świecie, który żyje na złamanie karku?

Niejezdny test zaliczony. Autodomowy kawałek egzaminu. W garażu, czyli statycznej części auta. Przestrzeni wydrążonej w skale sprasowanych blach.

Manewr spania w samochodzie, manewr odkurzania podłogi i manewr podgrzewania kanapki autotosterem. Tu nie można się pomylić. Nie tę część egzaminu kupiła jego łapówka.

Test jezdny waży więcej. To egzamin z broni.

Prawo do jazdy jest też pozwoleniem na broń. Broń, którą trzeba się bronić. Trzeba swojego domu, własności, siebie. Ona pozwala czuć się bezpiecznie.

Kierownica jest jak gnat. Jak bejsbol, jak kosa. Potrzebne do samoobrony. To zaczęło się dawno temu…

Broniowość auta trzeba zwalić na konia. Na pozostałość po jego czasach, kiedy służył jako narzędzie współzbrodni. Napadu, zajazdu, wojny. Kiedy pędził do tych wszystkich rozkoszy. Z pianą na ustach, z rozwianymi włosami. Z człowiekiem, ubranym w skrzydła, na grzbiecie. Napędzał pojedynki na kopie, ułańskie szarże i machania szabelką. A potem wymarł, jako żywe narzędzie użytkowe. Ale szybko zmartwychwstał.

Jako broń koń odnalazł się… pod maską. Od razu w liczbie mnogiej. Im więcej go tam, tym człowiek bardziej szarżuje. Tym jest odważniejszy. Większy, piękniejszy, hojniej obdarzony przez naturę. Bardziej porażający blaskiem zajebistości własnego ego. I wiadomo, że to wina konia. No bo tyle koni, a człowiek tylko jeden. Jakoś musi pomieścić w sobie wymagania napędu, napadu. Przecież agresja musi się wyładować, choćby tylko do obrony.

Z trzech manewrów został jeden.

Nie zdarzyło mu się niezdanie przy podjeździe pod górkę. Nic nie władowało się pod koła oczu. I bez problemu przekroczył nadprędkość, Gdyby w życiu za bardzo zwolnił, dopadłby go outowiec.

Nie zdarzyło mu się niezdanie przy celności parkowania. Nic nie przeszkodziło w trafieniu do garażowego otworu w blaszanej ścianie. Z ponadprzepisową szybkością. Gdyby w życiu za bardzo zwolnił, dopadłby go outowiec.

Czas na manewr rewolwerowca.

Światła to strefa rażenia. Tutaj czerwone i zielone palą się jednocześnie, dla autowców i outowców. Kamery wychwytują pobocznych, którzy atakują na czerwonym. Taki manewr wejścia do autoświata jest zakazany. Karany. Outowiec musi napadać na zielonym, kiedy auto też ma zielone.

Jedziesz, żyjesz. Stoisz na zielonym, można cię atakować. Dlatego musisz startować jak najszybciej. Twoje rozkojarzenie, rozproszenie, zapomnienie, gapiostwo, bujanie w obłokach, ślimaczenie się to okazja dla pobocznego. I twój ostatni krok do trumny. Auto jest stworzone do jazdy. Cierpi, kiedy musi stać.

Nie ma żółtego światła, żadnego przedsygnału. Ten świat minimalizuje niepotrzebne oczekiwanie. Nie znasz ułamka sekundy, tym bardziej dnia ani godziny. Poboczny ma dwa metry do ciebie. Nie wciśniesz gazu od razu, jest po tobie. Kiedy oko sygnalizacji mrugnie, odbezpiecza się niebezpieczeństwo. Musisz ruszyć z prędkością światła, a najlepiej świateł.

Jego czerwone oczy i czerwone oko świateł dla niego. Oczy testowego manekina i czerwone oko świateł dla sztucznego pobocznego. Umocowanego na szynie. Gotowego skoczyć. Dorwać się do drzwi. Wytłuc szybę łomem.

Palą się oczy, do czerwoności. Palą się gumy, sprzęgło, asfalt. Co się stanie? Co go zaskoczy? Co przygotował przekupiony egzaminator?

Do wybiegu, gotowi… To napięcie trwa… To najdłużej wstrzymany oddech w jego ży…

Staruje zielone i…

…mały pies.

Kierowcy zabrakło stóp. Tylko dwie nogi, a trzy pedały. Sprzęgło hamulcem odmawia jazdy gazowi. Silnik umiera. Outowiec u drzwi.

Psy to poboczne stworzenia. Zwierzęta są nikim na torze. To prosty wybór, przy tej prędkości. Lepiej wpaść na zwierzę czy na mur blachy? Rozsądniej zabić psa czy siebie?

Niezdanie wyszło zdarnie. Okazało się, że jest miękki. Że nie potrafi przeć przed siebie. Ale taka diagnoza to najłagodniejszy wymiar. Najgorsza jest śmierć silnika, jak u jakiegoś niedzielnego. Na tych drogach człowiek umiera za takie grzechy.

On jest załamany, bo musi być. Zaskoczył go pies, ale i zgasły silnik. Tego się nie spodziewał. To policzek. To dołuje, ale i pomaga. Daje większą nadzieję, prawie pewność niezdania. Wysiada i siada na poboczu, próbuje wyglądać jak rozpacz. Cały kryje się w dłoniach…

Inspektor podchodzi ważnym krokiem.

– Jak szybko lata wasz anioł stróż? – Słowa są uprzejmym uśmiechem.

On podnosi głowę, jak na pierwszym biegu. I mruży twarz, nierozumnie.

– Myśleliście, że wysiądziecie z wyścigu?

On chce się zerwać, ale zauważa dwa barczyste czarne płaszcze za sobą.

– W Sekcji Speed wiedzą, co zrobić ze zdrajcami…

Pies drepcze wdzięcznie za swoim życiodawcą. Wie, że to z jego rąk i nóg nie zginął.